

MARYA SEGENY.

OTCHŁAŃ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

1)

I.

Pociąg pospieszny wiózł Martę do Warszawy. Przez lekko zapotniałe szyby przesunął się w silnych, skróconych rzutach siny krajobraz gór. Szara, puchowa mgła osiadła na nich jak skłębiona, gęsta nić pajęcza, wchłaniając w siebie ostre zarysy i wypukłości.

Marta, wcisnięta w róg przedziału trzeciej klasy nieruchomo, szklanym spojrzeniem wiodła po tym monotonnym obrazie, ożywionym gdzieś tam jasną plamą, przysiadłego u podnóża gór domu, lub szuraniem wysmukłej wieżyczki kościoła zabłąkanego tu niespodzianie.

Marta jednak zapałała upornie w inne zupełnie obrazy wypełniające jej myśl, nie widziała nic zgoła.

Ani banalnej brzydoty, brudnego, z użytego przedziału o wytartych, nieprzytulnych ławkach, ani różnorodności typów przygodnych towarzyszy podróży zapadających już w nudę i martwość nieodłączną perspektywie spędzenia kilku lub kilkunastu godzin w niemiłej atmosferze niewygodnego i zimnego przedziału. Nie widziała, nie odczuwała nic, nawet raptownych zatrzymywania rozpędzonego pociągu osiadającego na szynach z głuchym zgrzytem żelazów, przed niektórymi przystankami. Nie słyszała donośnych, monotonnych nawoływań konduktorów, trzaskania drzewce, przeciągłego gwizdu i sapania ruszającej pracownice maszyny.

Obecne, migawkowe przejawy zewnętrznego życia, uchylały się zupełnie z pod jej świadomości, nie macając wytycznej linii przeżywanego skupienia myśli.

Marta jechała do Warszawy!

Poza tą jedyną, niezbitą prawdą, poza tym niezaprzeczalnym, radosnym faktem, wszystko inne było nicem.

Właśnie nareszcie cel jej żmudnych, upartych starań urzeczywistniony został. To, co niedawno jeszcze było tak nieprawdopodobnym, co tak odbiegało od przyjętej już z rezygnacją, istniejącej formy jej życia — przyobleczone się w kształt rzeczywisty!

Jechała do Warszawy! Do tego strasznego, a rozkosznego miasta, którego wyczuwana wibacja wypełniała tyle bezsensownych jej nocy, skrócała dni i godziny spychane z miary czasu z niechęcią i w buncie wewnętrznym.

Strasne, rozkoszne miasto! Takie pojęcie wyrobiła sobie nie Marta z opowiadań ludzi chętnie pragnących olśnić jej młodą i surową wyobraźnię, z dorywczych, fantastycznych opisów, wycyfrowanych w jakichś książkach, z przeczuć wysnutych z głodnej, pragnącej duszy!

Miasto potężnego, wiecznego życia! Czarodziejskie miasto światła i blasku, w którym się dusza skąpe aż do olśnienia, miasto wiecznej radości, upojenia i szaleń! Cudowne, fantastyczne. Ziemia obiecana, dla Marty wychowanej wśród zimnych, surowych gór, prostoty i nędzy życia przyjmowanych z przymusem i nienawiścią!

I tak jak w bajce!

Biednemu, szaremu Kopciuszkowi jakiś dobroliwy czarodziej przypina złote skrzydła i oto promienny, gwiazdzisty szlak wysnuwa się przed nim — do lotu, do szczęścia! do sławy!

A że otwarto przed nią tak nagle tę drogę — Marta się dziwi.

Bo teraz, ta przyszłość, która ją czeka, do której dąży całą siłą młodego, ufnego pragnienia, tak bardzo odbiega, tak bardzo odchyliła się od tej zniechęconej przeszłości — jarzma nędzy i upokorzenia! Na wspomnienie pierwszych lat młodości przeżytych w rodzinie Marta wzdyga się i raptownym spojrzeniem żegna ostatni tego już łańcuch gór spływający miękką linia ku polom obszernym i równinom.

O co było dawnym jej życiem pozostało poza nią.

Nie wróci prędko do tych gór, których piękna i spokoju nie umiała odnaleźć dusza zgorzkniała. Nie zadrga serce tęsknotą do domu rodzinnego, co wzięciem jej był. Nawet wspomnienie matki, żegnającej ją z jakąś bolesną trwogą i rezygnacją nie zaćmi rozkosznej wi-

zyli wypełniającej obecnie całą jej myśl, całe istnienie!

Nędzne, szare stworzenie, dźwigające na pochylonych barkach wieczne jarzmo niewoli!

Zabiedzone, bezmyślne już stworzenie, wyczerpane ciągłymi porodami i troską o chleb codzienny. W wypłowiałych jej oczach, zaczerwienionych od bezustannego płaczu, zagasiła już ostatnia isierka życia i człowieczeństwa, czai się w nich jedynie instynktowna pokora i lęk dręczącego zwierzęcia!

To już nie jest nieszczęście, lecz karygodne wyzbycie się wszelkich praw, bierność lenistwo i odrętwienie duszy, znieczulona na wszystko, bezmyślny instynkt samicy, w której mężczyzna zabił wszelką godność i dumę za cenę niewielu chwil niepewnych rozkoszy i przymusowego macierzyństwa.

Marta nie chce i nie stanie się podobną do matki! Rozumiejącami już wszystko oczami patrzyła na wstrętą tragedię jej codziennego życia.

Patrzyła uważnie, chcąc dopatrzyć się czegoś, coby nędzę fizyczną i moralną tej matki uszlacheć w jej oczach, uczyniło jej cierpienie bezwinnym, godnym współczucia i litości.

Ale ani tego współczucia, ani litości Marta dla matki w sobie znaleźć nie mogła.

Ojciec jej, nauczyciel ludowy w klimatycznej osadzie górskiej, powracał co dnia do domu pijany i zezwierzęcony. Wieczory i noce spędzone w atmosferze ohydnych scen, których Marta była przymusowym świadkiem, uczynił ją przedwcześnie dojrzłą. Wtedy to poznała rzeczy, od których wzdygała się jej młoda dusza! Poznała, w jakim stopniu kobieta, pozbawiona świadomości najelementarniejszych praw życiowych — zatracić się nie może, spodłość, stać się powolną i bezbronną wobec brutalnej, zwierzęcej siły mężczyzny i jego wrodzonego egoizmu.

Poznała wyzysk i bezwzględność jednej strony, przyjmowanej przez drugą stronę z rezygnacją złe pojęcie obowiązku, z poddaniem się instynktom najniższym, którymi nie rządziła już wola żadna.

Wyrwać się z domu, otrzaskać się z tej atmosfery zabijającej jej młodość, było dla Marty od lat kilku pragnieniem jedynym.

Najnie spodziewanej nadarzyła się ku temu dobra sposobność.

Po ukoniecznieniu w miejscu szkoły powszechnej, matka za namową jakiejś praktyczniejszej sąsiadki oddała Martę do jednej z większych pracowni miejscowych dla nauki kroju. Rozmowy starszych pracownic i towarzyszek, pragnienie ich związane z nadzieją przyszłości, utrwaliły tylko Martę w powziętym zamiarze. Wstąpiła w nią jakaś moc i przekonanie silne, że ona tylko jedna pokierować może swoim życiem i że idąc w tym kierunku, tylko na siebie liczyć może. Poczuła w sobie prawo rozporządzania własną osobą, nie oglądając się na nic i na nikogo.

Strasne i nędzne życie matki było dla niej dostatecznie odstraszającym przykładem, by i jej życie tą samą drogą pójść miało.

Przedewszystkiem uniezależnić się musi od wpływów domowych, a potem, kiedy już pewną nogą stanie na gruncie życia, potrafi życie to nagiąć do siebie, ujarzmić w dowolną dla siebie formę. Marta więc cierpliwie chodziła do pracowni, starając się jak najwięcej pojąć i nauczyć, w oczekiwaniu chwili, która będzie pierwszym zaczątkiem jej wyzwolenia.

Chwila ta nadeszła prędzej, niż się tego spodziewać mogła.

W tym czasie zjechała do Zakopanego na sezon letni Luna Sokolich, znana gwiazda jednego z estradowych teatrzyków w Warszawie.

Kiedy Marta zobaczyła ją po raz pierwszy w pracowni, dokąd artystka przysłała z jakimś zamówieniem, serce jej zabiło żywiej podziwem i instynktowną zazdrością.

Jak zława promienna, nęcąca, spowiła w cienie batysty i koronki, woniejąca jakimiś egzotycznymi zapachami, przesunęła się po surowej pracowni, wytworna, stylowa postać pani Luny. Pochylone, szare postacie dziewcząt wyprostowały się jak pod uderzeniem prądu elektrycznego, blade, anemiczne twarze rozgorzały gorącą łuną krwi pulsującej żywiej, w zmęczonych oczach zajaśniał blask zbuntowanej młodości!

Stała się podobną do niej! Być tą, która rozsiewa dokoła siebie czar piękna i beztróski życiowej! Chodzić pomiędzy ludźmi w aureoli sławy i uwielbienia, jak bóstwo niedościgłe i pojętne — modliły się małe duszyczki pracownic,

korząc się przed urokiem, który spadł na nie nagle!

I jawienie się Luny Sokolich w pracowni, gdzie dotąd widziano tylko dobrze już znane, skromne klientki miejscowe — stało się wydarzeniem niezwykłym.

Młode, przypylone już przyjętą z konieczności banalnością życia, dusze, otrzasknięte się na chwilę, ożyły, biegnąc ochotnie ku niedościgłym marzeniom...

Po wyjściu pani Luny głęboka, brzemienista w myśl gorąca cisza zaległa pracownię. Zmęczone, anemiczne głowy jeszcze niżej pochyliły się nad nudną, codzienną robotą, przeżywając w skrytości odebrane wrażenie.

Wieczorem dopiero, przy wyjściu, posypały się szepty zrazu sflumlone, potem coraz głośniejsze, krzyżowały się wykrzykniki, westchnienia żalu i podziwu.

Marta tej nocy nie spała wcale.

Właśnie może niż na inne, zjawisko Luny podziwiała na nią.

Ta piękna, roześmiana pani Luna przybyła z Warszawy i wkrótce tam powrócić miała.

Właśnie tam daleko, w tem wielkiem mieście żyła istoty podobne? Żyła istoty nieznające leż upokorzenia i nędzy, nieznające ohydnych łęk przed uformowaną już losem złą przyszłością. Śmiały, pewne swojej wartości idą tam, gdzie iść chcą, omijając zreżnięte kałuże i kamienie przydrożne!

Gdyby kto Marcie powiedział w tej chwili, że ten promienny blask rażący jej oczy, pokrywa ponure i zimne cienie, że ten kwiat barwny odurzający wonią, nosi w sobie już może zarodek zniszczenia i przedwczesnego przekwitnięcia — roześmiałyby się serdecznie.

Pani Luna, z artystycznie upiększoną twarzą, dzwoniącą złotymi bransoletkami i brelokami, owiana zapachem najwybredniejszych perfum, artystka sławna i oklaskiwana przez miasto całe, była dla niej uosobieniem szczęścia, a usamowolnienie się kobiety od trosk i szarych przykrości codziennego życia.

Stała się we wszystkim podobną do niej, było za śmiałym marzeniem. Lecz może choć parę promieni z jej olśniewającego blasku zapożyczyć od niej będzie mogła. Choć parę stopni postąpić wyżej, dzięki jej przykładowi i pomocy.

Postanowiła więc, zanim pani Luna odjedzie, dotrzeć do niej, uprosić jej rady i pomocy w tych pierwszych samodzielnych krokach, które jej miały uformować drogę do upragnionej zmiany życia.

W parę dni, kiedy zamówiony przez artystkę peignoir ukonieczniony został, uprosiła właścicielkę pracowni o pozwolenie odniesienia go do pensjonatu.

Blada ze wzruszenia, drżąca weszła do mieszkania pani Luny, a kiedy po godzinie wychodziła stamtąd, oczy jej gorzały nadzieją zwycięstwa.

Pani Luna, ujęta przedewszystkiem jej nawnym podziwem i uwielbieniem wyrażającym się w gorących, szczerych słowach bijących ku niej jak odurzające opary kadzidel, raczyła się nią zainteresować i zapewniła protekcję swoją w razie przybycia Marty do Warszawy. Chwilowy poryw swojej dobroci udokumentowała nawet w sposób bardzo praktyczny, wsuwając w rękę Marty, kiedy ją żegnała, parę banknotów wraz z adresem swoim wypisanym na wykwinnym bilecie wizytowym.

I oto teraz Marta, przełamawszy instynktowną niechęć matki, niezrażona przekleństwami ojca, tracącego w niej nie złą siłę roboczą z domu, jechała do Warszawy.

Świt już biał. Przez zamglone szyby wagonu wdzierało się szare, smutne światło listopadowego dnia. Zakopcona lampka jakgdyby wyczuwając jeszcze nędzniejszą brzydotę swoją, dogasała powoli, nie walcząc już nawet z tem światłem, które ufnie w prawo swoje pragnęło się tu rozpanoszyć samowładnie.

Nabrało ono już na tyle siły, że brutalnie, bezwzględnie obejmować zaczęło wnętrza przedziału wypłaszając z kątów ostatnie znikające cienie nocy. Nielitościwe w niedyskrecji swojej zatrzymywało się na twarzach i ubraniach uspio-nych podróżnych, uwydatniając nieestetyczny ich wygląd i zmęczenie. Blade, poszarzałe twarze, z zaczerwienionymi powiekami okazały się teraz w całej swojej prawdzie, nie ukrytej pod szablono-wą maskę towarzyskiego przymusu.

(Dalszy ciąg nastąpi).